Nr. 24. Lwów, dnia 20. Sierpnia 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów

W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya i Administracja *„Wieczorów zimowych"* **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Wieczory zimowe" **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1 go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Dokończenie tomu I.)

XXVIII

Po herbacie stał w swoim pokoju w oknie otwartem i cygaro paląc patrzył na jezioro. Noc była ciepła, cicha i gwiaździsta. Z klombów dolatywała woń rezedy, w lucernie za murem ogrodowym, słychać było skrzekot polnych koników.

Jezioro uspione najlżejszego szmeru nie wydawało, a jego powierzchnia tylko tam była widoczniejsza, gdzie w swojej toni odbijała gwiazdy na wysokiem niebie świecące. Ujście Leśne leżało w ciemnej pomroce. Za to w oknach pałacu, mimo znacznego oddalenia, jasne światła migotały. Zapewne musiały tam być okna otwarte. Jeźli tak było istotnie, to młody hrabia albo w domu nie był, bądź też całkiem już wyzdrowiał, że nie bał się przeziębić.

Przez kilka dni ostatnich, ilekroć nadciągał wiatr wschodni, od strony Ujścia dolatywały aż do Trzcińca silniejsze uderzenia, jakby tam kto kuł żelazo. Pana Milińskiego nie wiele to obchodziło, łatwo bowiem mogli rzemieślnicy na pałacu blaszany dach naprawiać, ale hrabina i jej córka były ciekawsze. Ponieważ gołem okiem nie mogły nic dojrzeć, więc uzbroiły się w binokle. Ale i te nie pomogły. W każdym jednak razie tyle dostrzegły, że pod samym pałacem liczni ludzie coś robili na wodzie. To hrabinę tak zaintrygowało, że kazawszy sobie ze wsi chłopaka sprowadzić, dała mu kilka trojaków i na noc pchnęła aż do Ujścia na zwiady. Stokroć chętniej byłaby posłała w tym samym celu dwóch konnych posłańców, dwiema odmiennemi drogami, ale z zamiarem swoim nie zdradziła się przed zięciem, bojąc się by ten w brutalności swojej nie odmówił jej tej drobnostki, co by ją jako osobę sercową i do delikatności przyzwyczajoną, musiało obrazić i zaboleć.

Gdy nazajutrz dowiedziała się, że w Ujściu parowy okręt budują, jej zaciekawienie nie miało już granic. Ciągle z binoklami wychodziła do ogrodu i bez przerwy z córką o tem rozmawiała. W zapale zwróciła się nawet kilka razy do zięcia, pytając czy się nie domyśla w jakim celu hrabia Węgrowski okręt sobie sprowadził. Pan Miliński wzruszył ramionami, powiedział: Warjat! i na tem skończył. To hrabinę wielce oburzyło. Jak można być człowiekiem tak na wszystko obojętnym, tak nietowarzyskim, żeby nawet tem się nie troszczyć co najbliżsi sąsiedzi porabiają.

Pana Milińskiego w rzeczy samej nic to nie obchodziło i nawet teraz, gdy w oknie otwartem stojąc, zdawał się ku Ujściu wzrok wytężać, myślał całkiem o czem innem, a nie o okręcie.

Dzisiejsza rozmowa z żoną, przekonała go, niestety, że od niej nie może spodziewać się żadnej pomocy. Aby była inną, taką jaką potrzebował, musiałaby się drugi raz urodzić i inne wychowanie otrzymać. Chociaż nie był psychologiem z zawodu, odczuwał to instynktowo, że nawet taka osoba jak ona, przy innem wychowaniu, mogłaby być oszczędną, rządną i pracowitą, gdyż tych rze-

czy można się nauczyć; zresztą wśród pospólstwa, pojawiają się także podobne istoty, a mimo to nie wszystkie kobiety, które tamże rodzą się z charakterem samolubnym, szukają potem chleba lekkiego; wiele z nich pracuje i żyje w swojej warstwie. Lecz aby inną była, potrzebowała by od dziecka przejść inną szkołę; nigdy zaś nie mogłaby się wychowywać drugi raz pod okiem własnej matki, która miała wszystkie wady córki, lecz w większych rozmiarach.

Skoro nie mogło to nastąpić, gdyż człowiek tylko raz się rodzi, więc cóż mu teraz uczynić wypadało? Miałże podjąć się sam edukacji żony? Na to było już za późno. Dziś prędzej mógłby ją złamać niż ugiąć. To mu wyraźnie zapowiedział ton stanowczy, którym zakończyła z nim dzisiejszą rozmowę. Zresztą praca i dlatego byłaby utrudnioną, że matka niekorzystnie na córkę oddziaływała. Jeżliby więc chciał do jakiego ustępstwa zmusić żonę, musiałby wpierw teściowę pożegnać, lub właściwie z domu ją wyrzucić, wszystko bowiem przekonywało go, niestety, że hrabina, nie mając się gdzie podzieć, już na stałe mieszkanie do Trzcińca zajechała. To by jednak był skandal, którego pan Miliński dla tego samego musiał unikać, że nie wiedział czy skórka starczyłaby za wyprawę, czy z tych wielkich nieprzyjemności zrodziłyby się choć jakie takie owoce.

Pozostawał środek ostatni. Powiedzieć żonie stanowczo: Tak chcę! Tak być musi!

Chociaż był energicznym i lubo wiedział, że to najprędzej do celu by go zawiodło, przecie gdy o tem pomyślał, wzdrygnął się, jakby przed sobą coś wstrętnego zobaczył. Prawdę powiedział baron, że polacy są zanadto rycerscy. Ta cnota średniowieczna, która ich tak korzystnie wśród innych narodów wyróżnia, i która im zjednywa serca kobiet świata całego, jest zarazem ich piętą achillesową. Wolą zginąć, niż ratować się kosztem spokoju domowego. Wolą dzieci wziąć na ręce i opuścić ziemię swoich ojców, niż zmusić swoje żony, siostry i matki, by wraz z nimi za pługiem chodziły. Wolą skazać się na nędzę, niż znosić piekło w domu. A czy na przypadek, gdyby żonę chciał gwałtem nagiąć do swoich celów, nie miałby w domu ciągłej walki, równającej się piekłu samemu? Prędko więc myśl tę odtrącił i więcej do niej nie wracał, bo był polakiem.

— Szlachta polska musi ztąd ustąpić, bo nie jest praktyczna! — brzmiały mu w uszach złowrogie słowa barona. — Skoro takie nasze przeznaczenie, trudna więc rada — on sam w duchu dodawał. — Raczej ustąpimy, niż zostaniemy brutalnymi tyranami! Dopóki u nas wychowanie kobiety nie odmieni, my inni nie będziemy.

Tak myśląc i postanawiając, zrzekał się własnej woli i zdawał wszystko na łaskę losu. Lecz czy mógł inaczej postąpić? czy mógł przeistoczyć swoją naturę, zaprzeć się ideałów, które w sercu nosił, wyrzec się tradycji, którą kochał?

Przypomniał sobie sprawę buraków i poranną rozmowę z baronem Maurycym. Chociaż nie podejrzywał go o podstępne zamiary, jednakowoż nie taił już przed sobą, że interes, który mu baron proponował, w razie gdyby żądanej ilości buraków nie był w stanie na czas mu dostarczyć, mógłby dlań wypaść fatalnie Rozum przeto nakazywał szukać wpierw innych dróg wyjścia i dopiero w ostateczności przyjąć propozycję barona. W tym celu postanowił zaraz nazajutrz pojechać do Poznania, a gdyby tam pieniędzy nie dostał, udać się następnie jeszcze po to samo do Wrocławia i Berlina.

Gdy tak stał w oknie, wzrok jego padł na cygaro, które w ręku trzymał. Zgasło mu przed chwilą; teraz namyślał się, czy je napowrót zapalić, czy też całkiem wyrzucić. Dość długo przypatrywał się rzeczy, która z dawien dawna wielką mu przyjemność sprawiała, nakoniec rzucił na dwór cygaro, mówiąc: Ostatnie! i zaraz okno zamknął.

Mimo godziny spóźnionej, poszedł jeszcze do pokoju dzieci. Ponieważ wiedział, że matka w nocy nigdy tam nie zaglądą, więc sam często do nich zachodził, zwłaszcza w zimie, by się przekonać, czy piastunka spi czujnie i czy dzieci nie są poodkrywane.

W pokoju było na w pół ciemno. Story u okien były pospuszczane, lampa nocna paliła się w rogu koło pieca. Pan Miliński wchodząc, wcale jej nie widział, gdyż ją miał w plecach. Piastunka chrapała, a mały Staś, lubo słabiej, wytrwale jej wtórował. Jańcia i Sabincia spały cichutko. Zatrzymał się najpierw przed kolebką najmłodszej córki. Spała znacznie uśmiechnięta, z buzią zarumienioną. Jedną rękę trzymała na krawędzi kolebki, drugą miała pod pierzynką, z pod której wyzierała nóżka okrągła, tłuściutka, pofałdowana, a różowa. Schylił się by ją pocałować. Zatrzymał się jednak w pół drogi, bo nużby ją zbudził.

Jańcia w swojem łóżeczku, w kołderkę owinięta, leżała twarzą do poduszki i spała tak cicho, że ojciec aż ucho do jej piersi przyłożył, by jej oddech usłyszeć; chłopiec natomiast w drugiem łóżeczku leżał na wznak, prawie całkiem nie przykryty, bo wszystko z siebie nóżkami pozrzucał i usta mając otwarte chrapał w najlepsze.

Chwilę zatrzymał się przy każdem dziecku i przypatrywał im się z uśmiechem, a gdy Stasia nakrył, obrócił się, by wyjść z pokoju. W tem usłyszał niby westchnienie. Spojrzał tam, gdzie lampa stała i ujrzał przy niej Antosię. Naprawiała sukienkę Jańci, siedząc na jej stoleczku; teraz na niego spoglądała. Obok stał Stasia stołeczek.

Pan Miliński zbliżył się na palcach i przy niej usiadł.

— Co ty najlepszego robisz dziewczyno — przemówił — że tak długo siedzisz i męczysz się dla moich dzieci? Wolałabyś przynajmniej co czytać, aby się rozerwać.

Uśmiechnęła się na to.

— U nas tyle się już czyta — odrzekła — że każda robota jest dla mnie przyjemniejszą, a cóż dopiero zajęcie około tego serdecznego drobiazgu.

— Ale pamiętaj żeś cały dzień na nogach, więc trzeba kłaść się wcześnie, aby odpocząć.

— Jak cię kocham, Henryku, jam wcale nie zmęczona. Zresztą tu, u dzieci, tak przyjemnie czas mi schodzi, że to samo jest już dla mnie najmilszym odpoczynkiem.

Jeszcze czas jakiś na ten temat rozmawiali, — potem ona zapytała:

— Czy dziś po południu, miałeś Henryku jaką nieprzyjemność, żeś był taki zirytowany?

— Nic nowego, Antosiu, stare dzieje, jak zwykle z matką.

— Powiedziała ci co przykrego?

— Właściwie nie mnie, tylko Stasiowi, lecz to mnie jeszcze bardziej zabolało. Posłuchaj.

Tu powtórzył jej dosłownie, co tego dnia usłyszał. Na to Antosia rzekła:

— Nie bierz jej Henryku tego za złe. Mama wnuki kocha, ale po swojemu, bo inaczej nie umie. Myśmy przecie były jej córkami, a jednak tak samo z nami postępowała.

— Jakto, biła was?

— Ach! czy raz...

— Biedne dzieci!... Lecz Eleonora nigdy mi o tem nie wspominała.

— Bo z nią prędzej to się skończyło. Była starsza, przytem piękniejsza, dowcipniejsza, do mamy podobna i miała dużo talentów. Mama zatem była z niej dumną. Przeciwnie ja...

— Osobą swoją nie schlebiałaś jej miłości własnej — szwagier dokończył.

— Nie sądzę, żeby tego pragnęła, lecz nie da się zaprzeczyć, że nie umiałam sprawić jej swoją osobą żadnej przyjemności.

— Zapewne, zapewne — szwagier rzekł, jakby do siebie.

Dość długo oboje milczeli. Ona miała wzrok do ziemi spuszczony, on patrzył w ciemny róg pokoju. Potem Antosia położyła swoją rękę na jego ręce i cicho przemówiła:

— Henryku! mam do ciebie wielką prośbę.

— Mów — odrzekł, kierując na nią wzrok na pół ciekawy, na pół zdziwiony.

— A nie rozgniewasz się na mnie?

— Czyż mógłbym kiedykolwiek rozgniewać się na jedyną opiekunkę moich dzieci, której tyle jestem dłużny za jej poświęcenie?

— Zanadtoś dobry, Henryku! Ja twoje dzieci tak kocham, że tylko z niemi czuję się szczęśliwą, więc też i o poświęceniu mowy być nie może. Ale dajmy temu pokój! Teraz o czem innem chciałabym z tobą pomówić.

— A więc słucham.

— Przyznaj mi się, Henryku, czemu od dłuższego już czasu jesteś ciągle zamyślony i smutny?

— Ja? Zdaje ci się, Antosiu!

— Nie, mnie się nie zdaje, ja to widzę!

— Być może, że mam trocha więcej zgryzot niż dawniej, zwyczajnie jak w gospodarstwie, prócz tego z matką trzeba po kilka razy na dzień staczać przykre utarczki, a to mnie denerwuje. Po za tem nic mi więcej nie dolega...

— A wolno wiedzieć, jakiej natury są te gospodarcze zgryzoty, o których wspominałeś?

— Indagujesz mnie jak sędzia śledczy — odrzekł siląc się do wesołego uśmiechu — tymczasem są to rzeczy, które ciebie najmniej obchodzą.

— Powiedz mi Henryku, powiedz! — prosiła błagające spojrzenie ku niemu podnosząc, przyczem jej dłoń na jego ręce silniej spoczęła.

— Skoro chcesz koniecznie, to ci powiem, chociaż wierz mi, że słuchać tego nie warto. Mam trocha kłopotów finansowych, i aby je uregulować, jadę w tym celu właśnie jutro do Poznania.

— Spodziewałam się tego! — szepnęła. — Pewnie ci, Henryku, pieniędzy zabrakło.

— Tak... coś tam...

— Jakiś ty nie dobry, że martwisz się, a mnie o tem nie mówisz! Przecie jestem ci siostrą, przyjaciółką, jeżli kto zatem, to ja powinna bym zawsze prawdę wiedzieć.

— Ty?

— A któż? Czyż nie jestem pełnoletnią? A skoro w tym domu od tak dawna mieszkam, to dla czegoż nie miała bym ci okazać wdzięczności i pomódz w potrzebie? Wszak moim majątkiem tylko ja jedna rozporządzam.

Mówiła tak szczerze, z takiem przejęciem i tak serdecznie na niego patrzyła, że Henrykowi aż się łzy w oczach zakręciły. Wziął jej rękę w swoje dłonie i czule ją uścisnął.

— Poczciwe dziecko! Poczciwe! — rzekł głosem wzruszonym. — Ja wiem, Antosiu, że ty masz serce złote, i w imieniu moich dzieci stokrotne ci dzięki składam, ale mimo to, tego, co mi proponujesz, nie uczynię.

— Nie, a to czemu?

— Boś sierota, a pieniądze sieroty, święte! Nuż bym ci nie mógł oddać...

— Ależ ja cię o to błagam, Henryku!

— Nie nalegaj, bo to daremne! Chociaż wziąć ich nie mogę, szlachetnej twojej propozycji całe życie nie zapomnę.. Co do mnie, położenie moje nie jest jeszcze tak złe, jak może sądzisz, chwilowe trudności dadzą się usunąć, i byle jeden rok prawdziwie dobry, a wszystko pójdzie doskonale. Ja jutro na dwa lub trzy dni jadę do Poznania,

tymczasem ty poczciwa moja siostro czuwaj tu nad dziećmi, bo wierz mi, twoje serce jest dla mnie droższe i pożądańsze niż pieniądze..

— Więc nie weźmiesz, Henryku? — ośmieliła się raz jeszcze zapytać.

— Pod żadnym warunkiem, i jeźli mi dobrze życzysz, nie mów mi więcej o tem... A teraz dziękuję ci Antosiu, za wszystko, com dziś od ciebie usłyszał i życzę ci dobrej nocy.

To powiedziawszy, w rękę ją pocałował. Ona siedziała, mając głowę ku niemu nachyloną. Gdy uczuł, że na pożegnanie rękę mu ścisnęła, pochylił się nad nią ze łzami w oczach, i jak brat, jak ojciec, w czoło ją pocałował.

Potem powstał i na palcach wyszedł z pokoju.

Ona twarz w dłoniach ukrywszy, cicho się rozpłakała.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

„7 Maja."

„Otoś mi Pan wielką nowinę zwiastował! Czyś zapomniał, że wiem oddawna o portrecie Siostry Marji? Jeszcze od dnia owego, kiedym podsłuchała Twoją rozmowę najswobodniejszą z panem Vaugenis, ukryta w pokoju obok. Jakkolwiek mógłby być ponętnym i czarownym ów portret, nie spodziewaj się Pan, żebym miała być o niego zazdrosną. Powtarzaj ile razy chcesz, że ja i ona jest Pańską wybraną, nie potrafisz Pan tego wmówić we mnie. Znajdujesz, iż ona ma w oczach pewną słodycz, której ja nie posiadam, że Cię zachwyca swoją uprzejmością, że ulega wszelkim Pańskim zachciankom, że najmilej czas jej schodzi w Twojem towarzystwie. Co do mnie zdawać by się mogło, iż posiadam serce nieczułe, niewdzięczne, żem popełniła zbrodnię nie do przebaczenia, nie pozwalając się porwać w ramiona i uwieźć „Wśród wichru i nocy" — i że słowiki w Combard, wystarczają mi do szczęścia zupełnego. Mylisz się Pan. Słowiki mię zachwycają, a cokolwiek Panu podoba się wypisywać, mamy oczy jednakowe, ona i ja. Ale to tak zawsze się dzieje; jej już nie ma, a mnie można zarzucić, że w ogóle istnieję; jest się wybaczającym dla nieboszczyków, a pełnym surowości dla żyjących. Biedna dziewczyna! czyżby na prawdę, była tylko wspomnieniem, snem rozwianym, cieniem cieniu? Nie, nie! nie wierz Pan temu! Powiedz Pan tej Białej Siostrzyczce, której portret posiadasz, zapewnij ją solennie, iż nie umarła, że wiecznie żyć będzie w głębi mego serca Obiecałam to mojemu proboszczowi, a proboszcz jest mi tak drogi, że haftuję dla niego w sekrecie kobierzec przed ołtarz. Tylkoż nie zdradź mnie Pan przypadkiem, przed Panem Cantarel, bo by mnię zjadł!"

„30 Maja"

„Niby to mnie Pan ubóstwiasz, a nie przestajesz mi dokuczać wiecznie i zawsze. Stajesz się Pan złośliwym niesłychanie. Najprzód: nie chcę być ubostwianą, rozumiesz Pan? Zróbmy układ. Pozwalam Panu kochać mnie namiętnie, nawet po szalonemu, przekonałeś mnie bowiem, że miłość szalona, to jedynie sposób rozsądny kochania się nawzajem, tylko nie mów, że mnie ubóstwiasz, bo tego słowa lękam się czemuś. Przed chwilą, patrząc w zwierciadło, mówiłam sobie ze wstydem: — „Jakto, on ubóstwia te biedne oczy, które tyle się napłakały, iż teraz nie mogą już śmiało spojrzeć, ani na słońce, ani na szczęście" — i szukałam w koło myszej dziurki, aby ukryć moje bóstwo. Dla czego mi Pan wyrzucasz z goryczą, żem nadto przywiązana do mojego opiekuna? Czy masz powody skarżyć się na niego? czy stawiał nam przeszkody w czemkolwiek? To mnie znowu prześladujesz, że za często bywam u pani de Moisieux. Czyż mogę przestać bywać zupełnie? Nazywasz ją przewrotną i chytrą Chciej mi wierzyć, iż jest lepszą, niż się może wydaje. Jedno, co mnie w niej razi, to wieczne dopytywanie się o Pana. Spuszczam oczy i rumienię się jak prawdziwa gąska wiejska. Są pewne rzeczy i pewne imiona, o których można li swobodnie rozmawiać ze słowikami, wśród ciszy nocnej.

13 Czerwca

„Dziś list pański wzbudził we mnie śmiech szczery. Tak z daleka z ogródkami, przygotowujesz mnie do koniecznej potrzeby wyjazdu do Paryża. Jedź z Bogiem i nie myśl że się boję czegokolwiek. Nie wyobrażaj pan sobie, żem zazdrośna o twoją przeszłość. Taraźniejszość do mnie należy, a w przyszłość wierzę całem sercem. Czyż bym Cię była mogła pokochać, nie ufając? Spaceruj że Pan najswobodniej po bulwarach, i patrz uważnie na twój cień, wlokący się po asfalcie. Czy też cień nie będzie podwójny, i czy ten drugi nie będzie do mnie podobny?"..

22 Czerwca.

„Muszę Ci wyznać Alfredzie, że jeżeli przystałam z taką łatwością, na długi termin, narzucony mi przez pana Cantarel, to nie dla tego, żebym wolała nadzieję, od szczęścia realnego. Rada tylko byłam, iż mi zostawiono całe dwa miesiące, żeby się przygotować, do strasznych odwidzin matki Amelji. Gdybyś ją znał, nie dziwił byś się mojej trwodze śmiertelnej. Pani Cantarel radziła mi napisać, to mi się wydało nikczemnem tchórzostwem. Wypiję do dna ten kielich, zniosę ust nie otwierając, potok srogich wyrzutów, gryzącego sarkazmu i obelg tysiącznych. Nie umrę z tego. A wszak sam raz powiedziałeś, że szczęścia nie można dość drogo okupić."

24 Czerwca.

„Nie Alfredzie, nie czyń tego! Wprawdzie pani Cantarel, nie wzbroniła by nam się widzieć, przez tych kilka godzin, które spędzę z nią w Paryżu. Byłoby to jednak złamaniem danego przez nas dobrowolnie przyrzeczenia Pomyśl, że od 1 Lipca, będziesz bywał w Combard ile zechcesz. Matka Amelja powtarzała mi wiecznie: — „Skrupułów, więcej skrupułów! nigdy ich ich nadto mieć nie będziesz!" — Podeptałam główne, tem bardziej trzymam się drobniejszych. A jednak, gdybym Cię mogła zobaczyć w sobotę, z daleka, nie mówiac i słowa, czułabym się o wiele odważniejszą wchodząc do „Lwiej Jaskini". Wiesz co? Naprzeciw bramy szpitalnej siedzi przekupka z owocami.. Gdybyś tak... punkt o drugiej kupował u niej owoce?.. Płonę cała wstydem i radością. Jeszcze stokroć gorzej, niż w rozmowie z panią de Moisieux! i to sama bez świadków. Jakże muszę czuć się winną! Cóż to będzie

dopiero w sobotę?... Pamiętaj, że owocarka jest na rogu ulicy... miewa przecudne wiśnie... popatrzysz kupując, to na wiśnie, to na mnie, i powiesz mi potem, kto z nas był czerwieńszy?"...

XX

W wilją wyjazdu do Paryża, Jetta poszła do pani de Moisieux, której już od dawna nie widziała. Lara jak zwykle, zapowiedział ją i wprowadził. Gdy ją spostrzegła, margrabina ruchem szybkim i trochę nienaturalnym, wsunęła za poduszkę od sofy dziennik, który w ręce trzymała.

Według swego zwyczaju, przyjęła Jettę najserdeczniej, jednak, co jej się nie przytrafiało, zdawała się dziwnie zamyśloną, zakłopotaną, jakby jakaś troska tajemna zajmywała jej umysł i język paraliżowała Rozmowa rwała się co chwila, a podczas chwilowego milczenia rzucała na swoją młodą przyjaciółkę spojrzenia pełne niepokoju i rzewnej litości. To znowu zaczynała paplać, aż do tchu stracenia, bez ładu i składu. Nagle zapytała: — Ale, ale... miałaś jakie wiadomości o panu Valport?

— Ma się rozumieć — bąknęła Jetta, siląc się, żeby nie spiec raczka.

— Czy zawsze mieszka w Bois le Roi?

— Nie... przecie wspominałam pani że ważne sprawy powoływały go do Paryża.

— Taak!... doprawdy zapomniałam... Jesteś zatem pewna, iż obecnie znajduje się w Paryżu?

— Nie inaczej... cóż w tem jednak tak panią dziwi i niepokoi?

— Nic, mój aniołku.. oh! nic zupełnie!

I przerzuciła się na pole wystawy ogrodniczej, którą przedwczoraj oglądała w Pałacu Industrji. Nareszcie wykrzyknęła:

— Co też za niecne rzemiosło, tych reporterów dziennikarskich!

— Czy tę uwagę wywołało u pani widzenie pięknych kwiatów i jarzyn olbrzymich? — uśmiechnęła się Jetta.

— Ot! tak mi to przyszło, ni stąd, ni z owąd... kiedyś tu wpadł mi w ręce pewien świstek.. Od kiedy tym panom wszystko wolno, stają się bezczelni i nadużywają wolności. Według mego zdania, nie jest możliwym rząd, ani nawet społeczeństwo, bez energicznego dyrektora policji, któryby się podjął, włożyć na całą prasę mocny kaganiec.. Oh! jak cesarz Napoleon miał słuszność zupełną! Mówił mi za swoich dobrych czasów: — „Nie rządziłbym i tygodnia, gdybym pozwolił każdemu rezonować i mnie krytykować jawnie." — Nie miał jednak odwagi tak postępywać aż do końca i wolność prasy go zgubiła. Prasa, moja droga, to trucizna, to istna dżuma!

— Czy ośmieliła byś się pani, wypowiedzieć to zdanie oko w oko dyrektorowi „Prawdziwej Republiki"? — odrzuciła Jetta figlarnie.

— Może nie prosto w oczy, ale tak... z profilu! . Żarty na bok... gdybyż ci panowie, zadawalniali się co dzień zrana, rozbieraniem i krytyką zjadliwą każdej czynności, każdego kroku, który rząd postawi, ale dla nich nie masz nic świętego, i wdają się nieproszeni i niepytani, w szczegóły najdrastyczniejsze z życia prywatnego, wciskają się w głąb ogniska rodzinnego, gwałcą domy nasze Dziś atakują bezkarnie, mnie, ciebie, świat cały!

Jetta wyobraziła sobie zrazu, iż któryś z dziennikarzy rewolwerowych, rzucił się niedyskretnie na przeszłość margrabiny, cokolwiek niejasną i zawikłaną. Gotowa już była zacząć jej żałować. Prędko jednak zdanie zmieniła, gdy margrabina, po nowej wycieczce w dziedzinę pomologji, wprost ją zapytała, i to powtórnie:

— Czyś tylko pewna, że pan Valport dotąd bawi w Paryżu?

Jetta na chwilę oniemiała, nareszcie wykrzyknęła:

— Czy przypadkiem nie piszą o panu Valport w tym dzienniku, który pani czytałaś gdym wchodziła?

— Cóż ci znowu dziecię strzeliło do główki! Skąd przypuszczenie?..

— Błagam panią, chciej mi pokazać ten świstek!

— Ależ przysięgam ci aniołku...

— Dziennik pani! dziennik! Muszę go mieć koniecznie! — śmiejąc się zawołała

I chociaż margrabina niby to starała się jej przeszkodzić, wyciągnęła szybko z poza poduszki numer ostatni świstka mocno pieprznego i bardzo w modzie chwilowo, zatytułowanego: „Djabłem Jednookim". Wątpimy czy pisemko to dotąd istnieje. Ten rodzaj djablików żyje niedługo, lecz bywa płodnym niesłychanie, i po zejściu z tego świata zostawia kilkoro dziatek, które wchodzą w ojca ślady, starając się jego przesadzić. Do płaskich konceptów, zbieranych po szynkach po prostu, pisemko dodawało niekiedy ploteczki bulwarowe, z dziedziny *high-life'u*. Chociaż redaktorowie pisemka mieszkali na poddaszu, a żywili się dość problematycznie, możnaby było przysiądz, iż codzień bankietują na wielkim świecie, i śpią na puchu, pod aksamitnemi kotarami, tak dokładnie znali awanturki buduarowe dam i panów z tegoż świata. Rozprawiali o tem wszystkiem tonem lekceważącym, zuchwałym, podkręcając junacko wąsika, i kołysząc się z miną wielkopańską; słychać było nieledwie świst ich szpad toledańskich. Po lekkości ich stylu i pewnem zacięciu, można się było domyśleć, iż w dziurce od fraka noszą kwiat gardenji i mają co dzień na rękach świeże rękawiczki, ale pod niemi czuć było djabelskie pazury.

Panna Maulabret wodziła oczami machinalnie po linjach dziennika; śmiejąc się zrazu, uczuła się nagle tak zmięszaną, że patrzyła jak przez mgłę. Zdawało jej się wprawdzie, że w cieniu tych czarnych pasków, czai się wielkie nieszczęście, niby jadowita żmyja, ukryta w gąszczu leśnym. Szukała i znaleść niczego nie mogła. Wiersze, kolumny, litery, wszystko w koło niej tańczyło.

— Chciej mi pani sama przeczytać — przemówiła tonem energicznym — ów artykuł zjadliwy, w którym jest mowa o panu Valport

Margrabina długo się broniła, przedstawiając, że źle czyni, że bywają pewne infamje, dla których jest to nadto wielki zaszczyt jeżeli się niemi zajmujemy. Powinno się je po prostu ignorować. Jetta nie dała za wygranę.

— Ha.. skoro chcesz koniecznie . Powiedz sobie jednak z góry, że to, co ci przeczytam, jest wymysłem jakiegoś głodomora, któremu brakło treści i przedmiotu. Przyrzeknij mi aniołku, że nie uwierzysz z tego ani słóweczka.

— Oh! czytaj raz pani! — rzuciła się Jetta niecierpliwie.

Zgwałcona niejako, margrabina czytać zaczęła.

Artykuł tak się zaczynał:

„Nasz djabeł ma tylko jedno oko, ale to oko przenika mury, wchodzi wszędzie. umie się wśliznąć pod kotary alków i w głąb dusz nieledwie. Aby nasi czytelnicy zro-

zumieli należycie jego wszędobylstwo, zaznaczymy iż Djabeł Jednooki, potrafił wczoraj być jednocześnie w Foyer Wielkiej Opery, gdzie się zdarzył wypadeczek dość ciekawy, podczas baletu; w gabinecie pana prezydenta trybunału, gdzie powzięto bardzo ważne postanowienie, o czem później obszernie pomówimy i w eleganckim apartamencie na ulicy... (gdzie sami zechcecie czcigodni czytelnicy) w którym mieszka jeden z bohaterów hig life'u. Małżeństwo jego, które miało wkrótce nastąpić, narobiło wiele hałasu na wielkim świecie, a wycisnęło z ócz pół-światka nie jedną łzę gorzką. Płaczcie biedne opuszczone! płaczcie gwiazdy opery! a szczególniej ty jedna... Otóż ów skończony dżentelmen, znany całemu Paryżowi, wczoraj zgromadził przy swoim stole siedmiu czy ośmiu biesiadników, z pomiędzy swoich najserdeczniejszych... Bądźmy dokładni.. było ich siedmiu... liczba kabalistyczna... Zaprosił ich na pożegnanie, na stypę pogrzebową, chciał wraz z nimi złożyć do grobu, z widelcem i kieliszkiem w ręku, swoje wesołe życie kawalerskie, swoją młodość kwitnącą i hulaszczą. Biesiadnicy byli to panowie... chcemy jednak być dyskretni i nie wymienimy niczyjego nazwiska. Aby okazać, jak wiemy o wszystkiem dokładnie, oto menu wesołej kolacyjki..„

— Idźmy dalej! — syknęła Jetta obrywając nerwowo palcami skurczonemi frenzlę nakrycia na stole, przywiezionego niegdyś z Carogrodu.

— Najlepiej wypuśćmy resztę! — zawołała margrabina zwijając i mnąc świstek w dłoni.

— Oh! błagam panią — Jetta spróbowała się uśmiechnąć.—Chciej uwzględnić i zadowolnić moją ciekawość.

— Skoro żądasz, niech i tak będzie... Gdzież to stanęliśmy? Aha! spis potraw, dalej wina skrupulatnie wyliczone... niech ich tam Bóg ma w swojej opiece! musieli się strąbić należycie! szczegóły nas wcale nieobchodzące. O! o! to będzie coś bardziej interesującego...

„Zrazu byli wszyscy w nastroju poważnym, niemal ponurym, jak przystało na ludzi, zaproszonych na stypę. Jadło było atoli tak wyborne, wina tak ogniste, że zwolna... zwolna, umysły się ożywiły, języki się rozwiązały. Chciano zmusić amfitrjona do pewnych zwierzeń, tyczących się cudownej istoty, która miała szczęście, czy zręczność poprostu, nawrócić do małżeństwa, młodzieńca, nie posiadającego dotąd do tego stanu najmniej kwalifikacji. Wznoszono toasty na cześć tej nieznanej piękności, wołano: — Nazwij ją nam! — Amfitrjon pozostał do końca nieprzeniknionym, nieubłaganym, jakby miał usta na kłódkę zamknięte.. My będziemy mniej dyskretni pod tym względem. Wiemy ze źródeł najpewniejszych, że owa piękna nieznajoma, była zmuszoną nieszczęściami rodzinnemi wstąpić do klasztoru i niedawno temu pielęgnowała chorych, w jednym z naszych głównych szpitali. Miłości, oto twoje strzały zabójcze!.. W przeszłem stuleciu porywano mniszki, dziś żenią się z niemi poprostu. Co jest faktem stwierdzonym, że wszyscy wielcy lamparci, zacząwszy od don Zuana, kończyli na mniszce; jest to przysmak ostatni dla podniebienia wszystkiem przesyconego. Przeczytajcie sobie z tej okazji pewien rozdział z „Pamiętników Casanowy."

— Brzydka książka — wtrąciła margrabina — napisana przez hultaja najdowcipniejszego, jakiego kiedy ziemia nosiła.

Zaczęła czytać dalej, cedząc słówko po słówku. Jetta przerwała jej mówiąc:

— Prędzej na miły Bóg, prędzej!

Chwilę czytała istotnie prędzej, ale znowu zwolniła doszedłszy do ustępu następującego, kładnąc nacisk na każde słowo:

„Wszyscy odeszli, nasz bohater pozostał samotny i marzył słodko, na pół leżąc w fotelu Nagle, o cudo! słyszy szelest sukni jedwabnej, pomięszany z wybuchem śmieszku na pół stłumionego i z szeptem tajemniczym. Czy otworzyła się skrytka pod posadzką? Nie wiemy... dość że to była ona. Drgnął, wpatruje się w nią, poznaje. Tak, to ona niewątpliwie, jego młodość, jego świetna, bujna młodość, która przychodzi do niego, w stroju różowym, z kwiatami we włosach. Zaczyna mu wyrzucać czarną niewdzięczność, podaje mu usta koralowe, dotąd nie ostygłe po jego namiętnych pocałunkach i mówi: — Pochlebiałeś sobie, żeś mię pogrzebał na wieki, patrz! wszak mam więcej życia, niż kiedykolwiek, co? — Chce ją odepchnąć, wypędzić, upiera się, chwyta go za rękę i szepce głosem oczarowującym:

— Jestem jedyną panią twego serca *Ta rose est la*.

Margrabina uznała za stosowne, dodać nowy komentarz.

— Ten ostatni frazes wykropkowany... kalambur wcale nie mądry: *Rozella*, jedyna pani twego serca.. Fe! jakie to nędzne! I czytać kończyła:

„W chwilę później usta ich się spoiły, pomięszały oddechy; jego młodość zmartwychwstała, trzymała niewdzięcznika w ramionach ślicznych i zwycięzkich, pewna, iż jej się więcej wymknąć nie potrafi... *Djabeł jednooki* jest atoli surowej moralności, zostawia innym obrazy drastyczne i lubieżne. Rzućmy zatem zasłonę, na tę noc pełną namiętnych uniesień. na to rozkoszne pogodzenie się: życzymy chwil podobnych każdemu z naszych czytelników, który odnowi abonament. Co pocznie Biała Siostrzyczka? Dzięki nam, publiczność będzie powiadomioną o wszystkiem. I oby ta nauczka poskutkowała, ku pożytkowi młodzieży! Panienki, panieneczki! nie pochlebiajcie sobie i nie cieszcie się zawcześnie, żeście lamparta przyswoiły, a szczególniej nie myślcie go poślubiać. Nie znosi on więzów i niebawem powraca do pierwszej miłości".

Spojrzała na pannę Maulabret, która oddawna się nie odzywała. Musiała jej się uważnie przypatrzeć, aby się przekonać, czy to ta sama osoba, tak jej rysy były zmienione, a twarz zielono blada. Przeraziła się na prawdę, uczuła wyrzuty sumienia, chociaż dotąd nie miała wyobrażenia, jak one mogą wyglądać. Uniesiona szczerem współczuciem, podbiegła do Jetty, zaczęła ją ściskać, starając się rozgrzać jej ręce skostniałe w obu dłoniach

— Oh! nie bierz tego tak tragicznie, mój aniołku! — perswadowała. — Przestraszyłaś mnię okropnie. Wierzysz więc tym nikczemnościom? Można by się założyć pięć na sto, że reporter skłamał ohydnie. Pisz w tej chwili do pana Valport. Ten bałamut niebezpieczny, ma jedną wielką cnotę, nie umie zmyślać Wkrótce dowiesz się o całej tej awanturze, i zapewne pierwsza będziesz się w głos śmiała z tego, co cię dziś do takiej rozpaczy przywodzi.

— Dziękuję pani — Jetta dźwignęła się z fotelu — za trud, który sobie zadałaś i za pociechy, któremi radabyś mnie uspokoić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

XLII.

Tydzień przestanku pomiędzy aktami.

Pamiętny będzie w historji popłoch rzucony na Anglików pod Castelbar. Przyznaje to ich własny historyk J. Gordon. Armja pięć razy liczniejsza, nie tylko zostawiła Francuzom cały park artylerji, amunicję, mnóstwo broni ręcznej, ale nieczuła się bezpieczną póki między nią a Francuzami, nie stanęła przestrzeń mil ośmdziesięciu. I nie wiedzieć, gdzieby się ta ucieczka była skończyła (sam Gordon dodaje) gdyby nie spotkanie z wice-królem pod Athlone z siłami więcej niż dostatecznemi, aby klęskę powetować.

Nigdy Francuzi nie mogli przypuścić tryumfu podobnego, to też zrazu świetne zwycięstwo oszołomiło ich i upoiło, odbierając krew zimną i trzeźwość sądu w przyszłości

Nazajutrz trupów zliczono. Zwycięstwo bądź co bądź drogo ich kosztowało: przeszło dwustu ludzi zabitych lub ciężko rannych. Armja zatem jenerała Humberta, wynosiła obecnie ośmiuset ludzi zaledwie!

— A teraz — spytał poufnie swojego sekretarza — cobyś zrobił hrabio na mojem miejscu?

— Może rada moja wyda się niewczesną panu jenerałowi — Tankred odpowiedział. — Jabym jednak, skoro honor wojska francuskiego został uratowany, wracał natychmiast do kraju własnego!

Humbert dumnie się uśmiechnął: — Niepodobna!... a to dla tej prostej przyczyny, że nasze trzy okręta dawno są na pełnem morzu! Dla czegoż mielibyśmy zresztą oddawać na pastwę ciemięzcom biedną Irlandję? Lada chwila posiłków oczekuję.

Takiem było również zdanie lorda Edwarda. Że pierwsza garstka Irlandczyków haniebnie stchórzyła, niczego to jeszcze nie dowodziło. Był to bowiem motłoch niesforny, niewyuczony. Zwycięstwo jedno rokuje i nadal powodzenie... Lud nabierze otuchy, animuszu. Dyrektorjat nie może zostawić swoich żołnierzy i puścić na przepadłe. Powstanie rozszerzy się na nowo. Nie jest że to może ostatnia deska ratunku, którą Opatrzność zsyła tylowiekowej męczennicy?

W szczególności zaś Humbert Hoche'm się zasłaniał:

— To była jego wola ostatnia! — powtarzał — przysiągłem mu na łożu śmiertelnem i dotrzymam przysięgi!

— Przynajmniej — wtrącił Tankred — trzebaby się starać porozumieć jak najrychlej i ściśle złączyć, z człowiekiem, który jest niejako wcieleniem krzywd całej Irlandji i którego lud tutejszy inaczej nie nazywa, tylko Wielkim Mścicielem.

— *Wild-Irish*, nieprawdaż? — spytał Edward.

— Tak jest — hrabia potwierdził — jego imię, wpływy, genialność, mogą nam być wielką pomocą.

Nie pierwszy to raz obijało się imię *Wild-Irish*'a o uszy wodza republikańskiego. Taki sprzymierzeniec nie tylko mógł się stać nader pożytecznym, ale choć nieznany budził w nim żywą sympatję.

— Gdzież go odszukamy? — spytał.

— Gdyśmy go spotkali przed pięcią dniami — rzekł hrabia — *Wild Irish* dążył w stronę północno-zachodnią i jeżeli dokładnie w oczach jego czytałem, udawał się tam w nadziei, że potrafi rozdmuchać nowe powstanie. Może ono nawet już wybuchło. Trzeba go jak najprędzej uwiadomić o twoim jenerale wylądowaniu, planach, i wyniku szczęśliwym z pierwszej walnej bitwy.

— A jeżeli jest w stronie zupełnie przeciwnej?

— Napiszmy do niego wszyscy trzej... Z Edwardem są braćmi po ojcu, nie tylko jako dzieci jednej matki Irlandji.

— Te listy — Edward zauważył — jak mu poszlemy tak daleko i prawdopodobnie przez linję nieprzyjacielską?

— Mam pewnego posłańca — hrabia zapewnił.

— Kogoż takiego?

— No! Pata poczciwego wyprawimy!

Pat gdy usłyszał o co idzie:

— *Ma Bouchal!* — wykrzyknął. — Tak pewne, jakbym już był z powrotem! Znam go i znajdę!

— Ale nasze listy, gdzież je ukryjesz?

Pat namyślał się, wreszcie prosił o małą zaliczkę, na przyszłe koszta podróży, i obiecał solennie, wrócić przed północą, w stroju stosownym do podróży.

Zegar nie skończył bić godziny dwunastej, gdy Pat zjawił się przebrany za ubogiego szlachetkę z Castelbar, uciekającego (jak utrzymywał) przed inwazją Francuzów. Miał na nodze jeden but tylko, drugi niósł za nim jeden z grenadjerów

— Szanowny obywatelu i mistrzu w szewskim zawodzie! — przemówił Pat górnolotnie Francuzowi pokazując na migi, czego od niego żąda — chciej pokazać tym dżentelmenom, jaką wymyśliliśmy skrzynkę na listy!

Żołnierz but obrócił do góry podeszwą i wsunął palce delikatnie, pomiędzy dwie grube skóry. Tam trzy listy utonęły.

— *Arrah!* — Pat wykrzyknął. — A teraz uczniu świętego Kryspina, wbij mi na około kilkanaście grubych ćwioków!

Podczas gdy szewc polecenie uskuteczniał, posłaniec odbierał ostatnie instrukcje, rady i przestrogi. Nic go nie trwożyło, nie myślał ani o możliwych przeszkodach, ani o łatwych do przewidzenia niebezpieczeństwach.

— *Brrrou!* — skoczył w górę wesoło — mam przecie mój stryczek!.. Co do szybkości, mam nogi długie, jak szczudła!.. Trzeba gdzie rzekę wpław przebyć!? Hu! do wody jak ryba!.. Trzebaby wzlecić w powietrze?.. jeszcze by i wtedy Pat coś wymyślił w swojej mózgownicy!

— Wszystko to bardzo pięknie i chwalebnie! — hrabia zakonkludował — ale nie zapominaj, żeś naszym ambasadorem i sprawuj się po drodze jak należy.

Pat skłonił się nisko, z ręką na sercu i z silnem postanowieniem, być trzeźwym i mądrym w drodze jak sam nieboszczyk Salomon. Kurjer przybył właśnie, przywożąc między innemi list Łucji, do margrabiego Grandlieu.

„Przypomnij tam hrabiemu — pisała — iż więcej niż kiedykolwiek liczę na niego i ciebie mu oddaję!"

Tankred o tej misji myślał jedynie. Jeżeli Rojalista do szpiku i kości, łączył się i bił z Republikanami, to li w celu uratowania życia Edwardowi.

Dojechał był nad brzeg morski, o mil siedm od Castelbar, aby umówić się z rybakami na przypadek gdyby nadpłynęły z Francji posiłki. Krążąc od jednej zatoki do

drugiej, mieli dać znać o przybyciu i natychmiast żołnierzy na ląd stały wysadzić. Dotąd atoli, ani jeden żagiel nigdzie nie zabłysnął.

Wolantarjuszów za to co dzień przybywało; mnożyły się również zielone sztandary, z „Lirą złotą“ i napisem, a raczej podwójną dewizą: *Liberty or death, Erin go bragh*!

Śpiewy Irlandczyków mięszały się z francuzką „Marsyljanką. Ćwiczyli się nowozaciężni w sztuce wojennej, z rodzajem fanatyzmu, bez wytchnienia! Postępy jakie robili, można było do cudów zaliczyć. Pragnęli zrehabilitować się przy pierwszej sposobności i nie stchórzyć haniebnie jak pod Castelbar.

— Będę miał wkrótce liczną armję! — Humbert powtarzał raz po raz.

Francuzi fraternizowali serdecznie z tym ludem, tak poczciwym, uprzejmym, gościnnym, łagodnym, trochę co prawda lekkomyślnym i lubiącym blagować, ale nadzwyczaj dowcipnym i sympatycznym, mimo iż w każdym kierunku dochodził do granic ostatecznych namiętnego uniesienia. Humbert wyraził się dnia pewnego:

— *Sapristi*! Oni całkiem nas przypominają!

— O dwa wieki wstecz! — Tankred zauważył.

— Ba! — Humbert zauważył — nagrodzą wkrótce czas stracony! Wystarczy na to półrocze!.. Nikt ich wtedy nie pozna i będzie tu niby druga Francja... zresztą Francja jest wszędzie gdzie my jesteśmy!

Przez całych dni ośm, zostawiono Francuzów spokojnych w Castelbar. Zaledwie kilka drobnych utarczek ku południowi, w których Anglicy nigdzie placu nie dotrzymali, ulatniając się czemprędzej. Z różnych raportów i oznak, można było wywnioskować, iż szczerze pragną wejść w układy. Wkrótce dowiedli, jak gorąco życzą sobie pokoju. Zjawił się konno oficer od dragonów, jako parlamentarz wysłany (jak utrzymywał) przez samego wice-króla, żądając rozmowy z głównodowodzącym jenerałem, lub przynajmniej z jego przybocznym sekretarzem hrabią Gaillefontaine, którego miał znać osobiście. Forpoczty, zawiązawszy mu oczy, zaprowadziły oficera angielskiego do głównej kwatery jenerała.

— Zobacz się z nim hrabio kochany! — Humbert ręką skinął przyzwalająco.

Tankred wchodząc do pokoju, gdzie zamknięto parlamentarza, nie mógł się wstrzymać od okrzyku, pełnego zdziwienia. Przed nim stał Reginald.

— To ty milordzie?.. Co za nieostrożność!

— Nie jestem że pod strażą honoru francuzkiego.. twojego honoru panie hrabio?.. — Anglik zimno odrzucił.

— Niezawodnie!.. — skłonił się hrabia — i gotów bym głową własną nałożyć, byle ciebie sir uratować! — A ściskając dłoń sobie podaną: — w jakim celu jednakże naraziłeś się sir na tak wielkie niebezpieczeństwo?

— Czyżbyś podzielał hrabio mrzonki ułudne twojego otoczenia? — Reginald spojrzał mu w oczy badawczo. — Czyż nie znasz ojca mojego wojskowych zdolności i energji w działaniu? Zgromadził dotąd około dwudziestu tysięcy żołnierzy, do dni kilku będzie ich miał drugie tyle.

Hrabia jako wytrawny dyplomata, nie rzekł ani słowa, tylko skłonił się powtórnie, z całą uprzejmością.

— Myśmy lepiej o wszystkiem uwiadomieni — parlamentarz mówił dalej — od wylądowania twoich ziomków panie hrabio, wiemy o każdym ich kroku, zliczyliśmy ich co do jednego żołnierza, co do jednego niemal naboju. Myślałem, iż twój wpływ rozumny, przekonywający, wywiedzie z błędu wzniosłego szaleńca oczy mu otworzy na grożące niebezpieczeństwo...

— Jeżeli słowa twoje sir — przerwał mu żywo hrabia — stosują się do jenerała Humberta, pozwól sobie powiedzieć, iż położenie jego nie jest bynajmniej tak rozpaczliwe i że...

Reginald nawzajem nie dał mu skończyć.

— Po odtrąceniu załogi zostawionej w Killala, zostaje wam obecnie ośmiuset i trzech ludzi, prawdziwych żołnierzy. Tamtej nowozaciężnej hołoty liczyć nie warto!

— Daruj sir! Wszak to tylko awangarda!

— Za którą miały pospieszyć liczniejsze posiłki, nieprawdaż? Otóż nasza flota, zmusiła te posiłki do odwrotu i obecnie w Brest nazad wylądowały.

— Było by to w rzeczy samej stratą wielką, niepowetowaną! Czemże jednak chcesz sir udowodnić, iż tak się stało, jak utrzymujesz?

— Mojem słowem honoru!

— Osobiście, zupełnie by mi ono wystarczyło. Wódz jednak ma prawo żądać i wymagać dowodów więcej namacalnych.

Pułkownik wyjął pismo z zanadrza.

— Na okręcie admiralskim, który dostał nam się w ręce — rzekł lodowato — znajdował się między innymi Wolf Tone, jeden z członków i wysłannik do Francji Irlandczyków Połączonych. O'Nial i może kto więcej jeszcze, zna jego charakter... Oto list, w którym dziękuje, żem potrafił mu życie uratować.

Tankred wziął pismo, z tą jednak uwagą:

— Wolontarjusze nasi, nie są znowu tak zupełnie do niczego, jak się o nich sir wyrażasz! A mogą się z nami połączyć powstańcy, ze strony północno-zachodniej..

Reginald wzruszył tylko ramionami, z uśmiechem ironji pełnym.

— Koniec końców — hrabia spytał niecierpliwie — cóż byś nam sir chciał proponować?

— Nic, coby uwłaczało honorowi dzielnego zwycięzcy z pod Castelbar! — rzekł z godnością syn wice-króla. — Dwie fregaty angielskie, odstawiły by wszystko i wszystkich, z honorami wojskowemi, do brzegów Francji, zawijając do portu, któryby sobie wybrał sam jenerał Humbert.

Tankred pomyślał w duchu, iż taką była jego własna rada.

— Dalej — kończył Reginald — amnestja najzupełniejsza dla powstańców, którzy garnęli się pod sztandary francuzkie, jak i dla Irlandczyków wychodźców, którym wolno będzie wsiąść na okręta, nie wymieniając wcale nazwiska Zrozumiałeś to hrabio? Ratujemy tym sposobem Edwarda i ciebie!

— Do stu katów! — uśmiechnął się hrabia. — W rzeczy samej i jam się niby trochę zaszłapał!... O mnie jednak bynajmniej tu nie idzie!

— Mówmy na serjo! — pułkownik brwi ściągnął.— Idzie nie tylko o życie Edwarda, ale o spokój i szczęście Łucji, które jest z mojem ściśle złączone. Pomyśl hrabio o jej trwodze śmiertelnej. Dla niej tylko tu mnie widzisz. Ah! gdyby ona wiedziała, ilem walk stoczył, ile wycierpiałem, po rozstaniu się z ukochaną...

Tankreda uderzyła na pierwszy rzut oka zmiana straszliwa w twarzy pułkownika. Pożółkł, wychudł, w oczach zapadłych czytało się niepokój gorączkowy i rozpacz niemal. Mówił prawdę! Brat zabity lub uwięziony, a siostra

byłaby znowu straconą dla jego miłości, bez której żyć by już nie potrafił!

Mimo tego, jako Anglik, oficer, syn wice-króla, pełnił i był gotów spełniać aż do końca ścisłą powinność. Hrabia silniej wzruszony, niż by chciał wyznać sam przed sobą, obiecał wyczerpać wszelkie środki, byle pokonać upór jenerała.

Przeczuł jednak i odgadł naprzód odpowiedź:

— Ho! ho! — olbrzym wydął usta pogardliwie, wysłuchawszy raportu Tankreda. — Wiedziałem, żeśmy im nie lada strachu napędzili! Ale wodza potężnej Republiki francuzkiej, nie tak łatwo w pole wyprowadzić! Czyż można zresztą wierzyć słowu Anglika? Starego wróbla nie złapią na plewę! Kiedy aż tu przyszli, gdakać o warunkach złożenia przez nas broni, to widać, że ich tęgo w garści trzymamy! Choćbym ja był na tyle głupi i niedołężny, żeby zgodzić się na tę udaną kapitulację, moi żołnierze sami, nigdy by do niej nie dopuścili. Raczej by mnie, pierwszego, jak psa utłukli! Rozkaz dzienny zatem: Bić się dalej! i wytrwać na stanowisku. I bić się będziemy, sacrebleu! póki nie wystrzelimy naboju ostatniego! — Nie dopuszczając więcej do słowa hrabiego, który rad by był jeszcze tę kwestje roztrząsać — Jedno na co pozwalam Anglikowi widocznie na zwiady wysłanemu i to li przez wzgląd na ciebie hrabio kochany, aby się czem prędzej wynosił! A radzę ci po przyjacielsku pilnuj go dobrze! Bo gdyby coś zwietrzyli o tej haniebnej propozycji moi dzielni wiarusy, do stu piorunów! nie chciałbym wtedy za całość skóry odpowiadać!

Tak pożegnany Tankred powrócił do czekającego nań Reginalda, który skamieniał przerażony słysząc odmowę.

— Ach! — szepnął głucho — wszystko skończone!

Tankred postanowił mu towarzyszyć poza ostatnie widety francuzkie. Gdy już się mieli rozłączyć, stanęli jeszcze w miejscu samotnem, aby trochę dłużej pomówić.

Było to pod wieczór, na krańcu lasu, który wzdłuż przeszli. Łąki, ze świecącemi gdzieniegdzie małemi jeziorkami, ciągnęły się daleko, daleko, jak okiem zasięgnął. Wszędzie rozsiały się kępy zielone, niższe i wyższe pagórki, obrośnięte wikliną, osiką i wierzbami. Cała okolica kąpiąc się w blaskach słońca zachodzącego, oddychała wonią przenikającą liści zeschłych, mieniła się już rozmaitemi barwami jesieni.

Ostatnie liście na drzewach głucho szumiały, nawet żaby w kałużach odzywały się smutno, jękliwie, bliskość zimy odczuwając

— Nie traćmy nadziei! — hrabia powtarzał — Edward i teraz będzie uratowany!

— A któż nas samych wyratuje? — szepnął żałośnie mąż Łucji. — Ten zawód ostatni złamał mię fizycznie i moralnie! Mam jak najgorsze przeczucia! Śmierć widzę przed sobą! śmierć w sercu noszę!

Siląc się nadaremnie, aby myśl jego zwrócić ku przyszłości mniej ponurej, Tankred skończył rozmowę słowem:

— Do zobaczenia!

— Żegnam cię hrabio! — oddrzucił na to Reginald tonem głębokiej melancholji i oddalił się natychmiast.

Tankred wracał wolno, prosto na swoją kwaterę. Noc zapadająca i znużenie, było wymówką dostateczną, żeby zamknąć się w swoim pokoju. Zbudził go dodnia gwar głosów ludzkich i okrzyki radośne.

Nagle drzwi ktoś z trzaskiem otworzył... na progu stał Humbert szczęśliwy, rozpromieniony.

— A nie mówiłem ci hrabio, że to były tylko sidła na nas zastawione! — huknął swoim głosem tubalnym. — Sygnalizują flotę francuzką w zatoce Donegal i my czem prędzej zbieramy manatki, aby złączyć się idąc ku północy z tymi których nam na pomoc wysłano Najdalej za godzinę będziemy już w drodze! Słyszysz hrabio, jak nasi dobosze, dziarsko walą w bębny! Aż serce skac ze!

XLIII.

Ballynamuck.

Nie możemy opisywać szczegółowo całej tej wyprawy awanturniczej; należy ona do historji. Zaznaczamy więc tylko, iż bitwa pod Killonay, była dniem ostatnim świetnego zwycięstwa i tryumfu dla wojska francuzkiego. Odtąd spadał cios po ciosie, ułudy znikały jedna po drugiej. Owa eskadra sygnalizowana w zatoce Donegal, kłamstwo wierutne! Castelbar odebrane napowrót przez Anglików! Pochód szybki, skoncentrowanego lorda Cornwallis, z armją trzydziesto tysięczną. Wice-król, przez dni dziesięć, korzystał z każdej chwili. Jako jenerał i organizator, rozwinął taką gwałtowność w działaniu, taką taktykę i energję, iż musiał zgnieść garstkę Francuzów.

Humbert zmienił dyrekcją. Ponieważ nic go już na północ nie ciągnęło, kierował się więc ku południowi, spędzając i rozpędzając po drodze, mniejsze oddziały angielskie, wysłane na zwiady, które złączywszy się wkrótce z armją główną, miały zająć stanowisko zaczepno odporne. Na drugiej zaraz stacji, Francuzi zajęli wioskę, z której tylko co wynieśli się cichaczem huzary. W domu sherifa miejscowego, stół zastali nawet nakryty dla oficerów:

— Do stołu! — Humbert zawołał na swój sztab przyboczny. Nagle coś w kominie zadudniło. Jakaś ludzka istota, sadzą poczerniona, spadła w popiół i szybko na nogi stanęła Był to Pat.

— *Arrah*! — krzyknął, ręką na otwór w kominie wskazując. — Tam czekałem, aż się wyniosą. A oto odpowiedź.

I z butem w ręce, wyciągał papier z pod podeszwy. Było tam zaledwie słów kilka: „Hrabstwo Longford w pełnem powstaniu. Maszerować ku Granagh.“

Na końcu był podpis:

„*Wild - Irish.*“

Tankred badał wysłańca:

— Widziałeś go? Iluż ma pod sobą powstańców?

— Nie miałem czasu, liczyć ich na sztuki — Pat odpowiedział — ale jest ich dosyć, samych tęgich zuchów i amunicji im nie brak! W lochach starego zamku stoją całe beczki prochu. *Wild-Irish*, odpowiedział kilka słów każdemu Radby był złączyć się z nimi jak najprędzej, zdawał się wierzyć jeszcze w skutek pomyślny wyprawy.

Skończywszy z Patem, wzięto się do badania mapy Irlandji. Granagh, było na drodze do Dublina. Rzucenie się śmiałe na stolicę, mogło jeszcze uratować sytuację. Takim był zresztą plan Hoche'a.

Nie tracąc chwili, skracając godziny wypoczynku, marszem forsownym, garstka Francuzów, puściła się ukośnie, bliższemi drogami, w tym nowym kierunku Za nią szedł korpus z pięciu tysięcy Irlandczyków, nie źle uzbrojonych i jako tako wymustrowanych. Mnóstwo włóczęgów, towarzyszyło im jako rodzaj gwardji przybocznej, z laskami sękatemi po prostu, lub z kosami na sztorc wbitemi.

Pan ambasador przywdział znowu mundur piechura, starannie jednak przed tem zbadawszy, czy liberja wiernego Pata znajduje się dotąd między rzeczami jego wysokości.

— Ma się rozumieć — hrabia odpowiedział — ale cóż znaczy to pytanie?

— Kto wie?.. *Brrou*! Mądrość prawdziwa, wszystko naprzód przewiduje!

Tankred nie zgłębiał dłużej odpowiedzi dziwnie zagmatwanej. Prawie na krok już teraz Humberta nie opuszczał. Mina jenerała zrzadła trochę i pewność zuchwała, zaczynała się chwiać nieco. Bolało szczególniej wodza naczelnego Republiki francuzkiej, że oprócz kilku irlandzkich wychodźców, z nazwiskami głośniejszemi, ludzi światłych i dzielnych wojskowych, arystokracja miejscowa trzymała się zdaleka i mimo świetnego zwycięstwa pod Castelbar, zdawała się niedowierzać, nie ufać zbawcom francuzkim. Wolontarjusze rekrutowali się z najniższych tylko warstw społeczeństwa.

— Muszę raz jeszcze powtórzyć jenerałowi — Tankred zauważył — iż arystokracja, jest po większej części protestancką, trzyma więc z rządem. Strzeżmy się, żeby nadużycia i łupieztwo łotrów, którzy ciągną, jak stado kruków złowrogich za nami, do reszty nam reputacji nie popsuło!

Z drugiej strony, nieprzyjaciel naciskał coraz dotkliwiej. Takim był plan wice-króla, aby zanim przyjdzie do walnej bitwy, ciągłemi utarczkami nużyć, drażnić i demoralizować żołnierzy francuzkich. Wkrótce było już tylko siedmiuset trzydziestu ludzi!

Musieli porzucić armaty zdobyte w Castelbar. Brakowało koni i zaprzęgów. Czas jakiś wolontarjusze ciągnęli lawety. Ale po cóż zresztą? Francuzi mieli już tak mało artylerzystów, a marsz był tak szybki, tak forsowny

Zostawała zresztą nadzieja ostatnia: *Wild-Irish*.

W Ballynamore francuzka awangarda, stoczyła pomyślną potyczkę, czem sobie uwolniła brzegi Shannon pod Balintra. Nie mieli jednak czasu mostu zniszczyć za sobą Dywizja angielska zbierała się na brzegu przeciwnym i chciała widocznie iść w pogoń. Garstka Francuzów była powoli coraz ciaśniejszemi kręgami otaczana. Żołnierze byli tak znużeni, iż mimo grożącego niebezpieczeństwa, trzeba było im udzielić jakiego takiego posiłku i pozwolić wytchnąć bodaj przez kilka godzin w Closne. Sztab cały zwołano tymczasem do głównej kwatery na walną naradę.

Zaledwie zasiedli oficerowie z Humbertem na czele a żołnierze ogniska porozpalali, aby cokolwiek strawy ugotować, gdy trąbki na alarm zagrały.

Był to parlamentarz, oficer od dragonów. Gdy go wprowadzono przed Humberta, Tankred poznał w nim lorda Roden przyjaciela od serca Reginalda.

Przychodził proponować kapitulację

— Znowu! — jenerał zrazu groźnie brwi zmarszczył. Po chwili namysłu dodał: — Pod temi samemi warunkami?

— Nie, bo położenie zmieniło się zupełnie — zauważył parlamentarz.— Tak byśmy jednak pragnęli uniknąć bezcelowego krwi rozlewu, iż...

— Jedno pytanie przedewszystkiem!..—przerwał mu Humbert, biorąc w ręce papier ze spisanym aktem kapitulacji.—Czy w tej propozycji... wspaniałomyślnej, pomyślano i o naszych sprzymierzeńcach Irlandczykach?

— Z żalem muszę dać co do tego odmowną odpowiedź — skłonił się Anglik.

— W takim razie nie przyjmuję!

I dumny, nieugięty republikanin rozdarł na czworo pismo wice-króla. Parlamentarz wychodząc zwrócił się jeszcze w progu:

— Panie jenerale! — rzekł tonem błagalnym nieledwie. — Idzie tu o życie przeszło tysiąca! Racz się nad tem zastanowić! Jesteśmy pięćdziesięciu przeciw jednemu i właśnie przed chwilą na naradzie wojennej, wódz naczelny wahał się i nie chciał was atakować. Czyż tak wysokie uznanie waszego bohaterstwa, nie wystarczy aby ocalić honor oręża francuzkiego?

— Zdeptał bym go i nie był bym godnym synem Republiki — Humbert zakończył — gdybym rzucił wam na pastwę, gdybym zdradził haniebnie tych, którzy zaufali sztandarom francuzkim i z nami się połączyli!

Lord Roden skłonił się nisko, umiejąc uczcić bohaterstwo rozpaczliwe Przechodząc zaś koło Tankreda, którego poznał natychmiast, wręczył mu dość gruby plik papierów zapieczętowanych.

— To miałem polecone oddać do rąk własnych panu hrabiemu—ciszej zaś dodał, na bok go odprowadzając:— Cokolwiek się stanie. możecie panowie liczyć na pomoc pułkownika Cornwallis, i.. na jego adjutanta, ośmielę się panów o tem zapewnić

Uścisnęli sobie nawzajem ręce podane, parlamentarz skłonił się w około i wyszedł. Rada wojenna trwała dalej w pokoju Humberta. Irlandczycy usunęli się przez delikatność. Za ich przykładem poszli również Edward i Tankred. Skoro znaleźli się w cztery oczy, w izdebce, którą obaj zajmywali, Tankred złamał pieczęć i roztworzył oddaną mu kopertę.

Wyjął z niej dwa pergaminy, opatrzone podpisem i pieczęcią wice-króla. Pozwolenie dla statku amerykańskiego do wypłynięcia z zatoki w Killala: drugi zawierający rozkaz dla okrętów angielskich, krążących około brzegów irlandzkich, aby statek wolno puściły.

— Serce wielkie! szlachetne! — Tankred wykrzyknął. — I teraz o nas nie zapomniał!

— Statek musiał już dawno odjechać! — lord Edward machnął ręką.

— Bynajmniej! — Tankred zapewnił. — Zanim biskupa pożegnałem, skoczyłem porozumieć się z kapitanem. Miał na nas czekać cały miesiąc. Zostają nam więc jeszcze dwa tygodnie czasu i ta przepustka.

— Jakto? — wypatrzył się na niego Edward zdziwiony — Myślał byś doprawdy o ratunku, drogi przyjacielu?

— A po cóż bym do stu djabłów włóczył się za tobą? — Tankred rzucił się niecierpliwie. — Przyrzekłem twojej siostrze i choćby mimo twej woli, muszę cię uratować! Szlachcic francuzki słowa danego nie łamie!

W chwilę później kazał ich prosić Humbert do siebie. Siedział przed domem, na jaszczyku z amunicją, otoczony sztabem i żołnierzami.

— Kochani towarzysze — kończył właśnie przemowę — zdaje mi się iż wam rzecz całą jasno wyłożyłem Dać się wytłuc co do nogi, lub się poddać Anglikom. Ja nie chcę! Ale może wy chcecie?!

— Nie! nie! — chórem krzyknęli, dodając w rodzaju dosadnej konkluzji, potok przekleństw energicznych, w narzeczach najrozmaitszych.

— Humbert zeszedłszy z trybuny improwizowanej, oświadczył wychodźcom irlandzkim, że ponieważ są już blisko od Granagh, a tem samem od *Wild-Irish'a*, tej nocy jeszcze spróbuje się przebić i z nim połączyć.

Słońce właśnie było za góry zapadło Wieczór zapowiadał się cichy i smętny, jak zwykle w jesieni. Ze wzgórza, zajętego przez Francuzów, górowało się po nad całą okolicą. Pierwsze gwiazdy błysnęły na niebie. Na łąkach wnosiła się para biaława, niby fale morza mlecznego. Wkrótce i księżyc się pokazał w całej pełni, oświetlając widnokrąg.

W obozie francuzkim, prócz kilku żołnierzy, stojących tu i tam, na widetach wszystko spało. Cisza głucha na okół panowała. Dzielni żołnierze myśleli tylko o wypoczynku, aby sił nabrać do jutrzejszej przeprawy.

Na prawo, tam gdzie rozłożyli się taborem krajowcy, w koło płomieni buchających z ognisk, niby z krateru wulkanicznego, snuły się cienie fantastyczne. Chwilami słychać było ich śpiewy i krzyki hulaszcze.

Edward i Tandred znaleźli się wkrótce w samym środku ognisk rozłożonych.

Dwaj przyjaciele, chcieli już wracać z nocnej przechadzki, gdy usłyszeli jakby szmer głuchy w dolinie.

Wyszli na pagórek przeciwległy i zobaczyli tłum cały Irlandczyków, z głowami odkrytemi, niektórych nawet klęczących, a wszystkich słuchających w ducha skupieniu, słów pełnych natchnienia, jakiegoś starca, księdza, sądząc po sukni długiej, który kiedy niekiedy mówić przestawał, a wtedy tylko wyciągał nad tłumem ręce drżące i zdawał się ich w cichości błogosławić.

— To Dżon Murphy, to Ojciec Jan! — rzekł Edward, głowę odkrytą również z czcią pochylając.

Tankred przypatrywał się ciekawie postaci legendowej, o której *Wild-Irish* mówił z takiem uniesieniem.

I lord Edward miał dla starca cześć głęboką Był to w rzeczy samej bohater nieustraszony z pierwszej ery chrześcijańskiej, który prowadził lud w bój przeciw ciemięzcom, nigdy sam krwi nie przelewając. Dzielił z powstańcami wszelkie trudy i niebezpieczeństwa, zachęcając więcej jeszcze własnym przykładem, niż zagrzewając do wytrwania, słowem natchnionem boskiego pomazańca. Mówił z silnem przekonaniem, jak wszystko powinni poświęcić, byle kraj wyswobodzić, byle kościołowi katolickiemu, zapewnić w Irlandji rozróst spokojny. Wzrost wyniosły Ojca Jana, twarz szczupła i jak wosk żółta, wyraz w oczach ascetyczny, czoło łyse, mocno wypukłe i gładkie jak kość słoniowa, w tyle głowy włos siwy, na ramiona spadający, robiły go podobnym do posągów marmurowych, ustawionych w niszach starożytnych świątyń gotyckich Święty ten człowiek, więcej już istotnie do nieba, niżeli do ziemi należał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy).

Zapatrywanie powyższe tak jest w przekonaniu Napoleona zgodnem z naturą rzeczy, iż nie waha się wypowiadać je głośno, i to nie w kółku zaufanem, lecz wobec dyplomatów lub cudzoziemców, jak Miot i Melzi.

„Sądzicie może panowie" — mówi im po podpisaniu punktów przedugodnych w Leoben,— „iż podbijałem Włochy dla zapewnienia sławy mówcom dyrektorjatu, takim Carnot om i Barras'om? Że walczyłem, aby utrwalić rzeczpospolitą? Co za myśl! Rzeczpospolita o trzydziestu miljonach mieszkańców, rzeczpospolita przy naszych obyczajach i występkach,— alboż to możebne? Urojenie, czcza mara, bawiąca na razie Francuzów, która wszakże minąć musi. Trzeba im sławy, zadowolenia próżności, ale wolność, — alboż oni rozumieją, co ona znaczy? Spojrzyjcie tylko na armję, jak doskonale poglądy moje tłómaczy; tryumfy, powodzenia o tyle już upoiły żołnierzy, iż odzyskali napowrót cechy charakteru narodowego, a ja wszystkiem dziś dla nich jestem. Niech dyrektorjat spróbuje odsunąć mnie teraz, niech odejmie mi władzę; zobaczymy wtedy, kto ją posiada. Dość już narodowi teorji rządzenia, dość frazesów i rozpraw ideologów, których nie rozumie nawet, dziś potrzeba Francuzom wodza rozgłośnej sławy.. Co do twoich rodaków, panie Melzi, sądzę iż posiadają oni w sobie mniej jeszcze żywiołu republikańskiego; z nimi też nietyle robiłbym zachodu.. Zresztą, co prawda, nie myślę tak prędko skończyć z Austrją; pokój nie leży wcale w moich zamiarach. Widzicie panowie, czem jestem i co mogę dziś we Włoszech. Dopóki stoję na czele armji, którą umiałem do siebie przywiązać, władza ma do nieograniczonych należy, z chwilą jednak zawarcia pokoju, musiałbym wyrzekając się wpływu i wysokiego stanowiska, iść rozpocząć umizgi do tych adwokatów w Luksemburgu Chciałbym więc wtedy dopiero opuścić Włochy, gdy będę mógł iść odegrać taką samą rolę we Francji, jaką podjąłem tutaj, lecz dziś zawcześnie jeszcze na to, owoc wpierw dojrzeć musi"

Czekać, aż owoc dojrzeje, strzegąc równocześnie, aby go kto inny nie zerwał, — oto program, w imię którego Bonaparte pozostaje wierny rzeczypospolitej i ogłasza jakobińskie odezwy nawet. Gdy stronnictwo pewne podnosi głowę w obronie Burbonów, wyznaje on szczerze: „Prawda, iż pragnę osłabić rząd republikański, ale uczynię to tylko na rzecz moich własnych interesów, nie zaś na korzyść dawnej dynastji" Tymczasem idzie ręka w rękę z rzeczą pospolitą, z najgorętszymi jej zbrodniarzami, ze złoczyńcami, bo oni później oczyszczą pole i zniosą dyrektorjat, bo zaprowadzą we Francji straszne rządy teroryzmu. Więcej nawet; 18 *fructidor'a* nie pozostaje bezczynnym, a po fakcie dokonanym tłómaczy współudział swój w nader jasny sposób: „Nie sądźcie, iż z tymi, których wspierałem, łączy mnie wspólność myśli—bynajmniej. Nie chciałem tylko po prostu przywrócenia Burbonów, nie chciałem, aby Moreau lub Pichegru wprowadzili ich przy pomocy swego wojska. Jeżeli sam nie życzę sobie grać roli Monk'a, to nie pozwolę równocześnie, by ją ktokolwiek inny podejmował. Co do mnie, oświadczam ci, drogi Miot, iż czasy uległości minęły niepowrotnie; nie umiałbym już dziś słuchać nikogo; zakosztowawszy raz władzy, nie myślę jej się wyrzekać na przyszłość; ztąd też będę rządził Francją, albo opuszczę ją na zawsze; postanowienie to nieodwołalne."

Między dwiema ostatecznościami niema dla niego drogi pośredniej. Powróciwszy do Paryża, marzy tylko o tem, aby rozwiązawszy radę państwa, obalić dyrektorjat i ogłosić się dyktatorem; „obliczywszy jednak, iż prawdopodobnie zamach mógłby się nie udać, odkłada go na później," sam zaś chwyta się innego projektu i rzeczywiście kraj na czas jakiś opuszcza. Taką była przyczyna wyprawy do Egiptu. Mało go obchodziło, iż przy stanie ówczesnym Europy i Francji, wyprawa ta sprzeciwiała się najgłówniejszym jej interesom, że pozbawiwszy państwo najlepszej armji, rzucił ją wraz z flotą

na pastwę nieuniknionej zaguby; względy te milkły wobec faktu, iż równie olbrzymie i awanturnicze przedsięwzięcie zapewniało Bonapartemu upragnioną władzę, dawało mu szerokie pole działania, sposobność do zwycięztw rozgłośnych, których echo przebiegłszy morza i lądy, miało wznowić urok otaczający jego imię. W oczach zaś tego niezgłębionego egoisty, flota, armia, Francja i ludzkość cała po to tylko istnieją, aby do jego zamysłów służyły.

Gdyby do poparcia podobnych poglądów potrzebna była jeszcze jedna *lekcja o rzeczach,* Egipt dostarczy jej niezawodnie. Pan wszechwładny, pozbawiony wszelkiej nad sobą kontroli i wszelkiego zwierzchnictwa, a postawiony wobec ludu znacznie niżej stojącego, nietylko przybiera on tam pozory despotycznego sułtana, lecz — co gorzej — przyucza się do nich. Ostatnie jego złudzenia, ostatnie skrupuły w postępowaniu z rodzajem ludzkim milkną tu równocześnie. „Rousseau zbrzydł mi szczególniej“ — opowiada później — „od czasu pobytu mego na Wschodzie, gdyż przekonałem się, iż wyidealizowany jego człowiek w stanie natury jest psem po prostu, człowiek cywilizowany zaś różni się od dzikiego lekką tylko powłoką, bo chociaż mu mózg wydelikacono, instykta najlżejszej nie uległy zmianie. Ztąd też jeden jak drugi potrzebują pana i władcy, któryby wziął ich w karby, przeszkadzał gryźć nie w porę, trzymał na obroży, pielęgnował i prowadzał z sobą na polowanie; posłuszeństwo — to jedyny los, na jaki zasługuje; do innego nie ma też prawa“.

(Ciąg dalszy nastąpi)

PORADNIK DOMOWY.

Ocet domowy.

Wlać w baryłkę dębową 6 garncy wody miękkiej i garniec okowity. Arkusz zwyczajny czystego papieru, posmarować z dwóch stron miodem, a zwinąwszy w trąbkę wpuścić w baryłkę, zlekka ją zatykając; postawić w ciepłym pokoju, gdzie stać powinno najmniej sześć tygodni, po których ocet powinien być zdatny do użycia, zależy to jednak od temperatury i zewnętrznych okoliczności. Można tym sposobem urządzić dwie lub trzy baryłki, aby zawsze mieć ocet do użytku; gdy z jednej wychodzi, z drugiej powinien już być dobry. Dla nadania koloru wziąć pół kwarty kaszy jęczmiennej, na patelni na wolnym ogniu mięszając ciągle podrumienić i zrumienioną wsypać w ocet na kilka dni przed skończeniem fermentacji.

Sposób czyszczenia złotych łańcuszków.

Pocierać łańcuszek w ręku małą ilością żelaznych opiłków (Eisenoxyd), ale zupełnie na sucho i niezbyt długo, następnie umyć w wodzie wysuszyć w cienkiem płótnie lub gałganku wełnianym, a w końcu jeszcze potrzeć przesianemi opiłkami z tartego drzewa.

Woskowa zaprawa do mebli.

Rozpuścić na wolnym ogniu 8 części białego wosku, 2 części kalafonii i pół części weneckiej terpentyny, mięszać ciągle w ryneczce kamiennej, a gdy jeszcze gorące, dodaje się 6 części mocnego terpentynowego olejku; po zastygnięciu masa ta powinna mieć miękkość masła.

Meble przeznaczone do pociągnięcia zaprawą, powinny być przedtem starannie wymyte wodą z mydłem, po dobrem wyschnięciu, bierze się tej masy woskowej na miękką szmatę i najpierw lekko, następnie coraz silniej wciera się przez pół godziny; po pociągnięciu dobrym, czystym szerlakowym lakierem, meble świetnego nabierają połysku. Politurę tę każdy bez wielkiego zachodu zrobić może, a z wielką łatwością oczyścić i odnowić się daje.

Kwadrat magiczny.

1. król Egiptu
2. dzieło Xenofonta
3. część ubrania
4. starożytna nazwa półwyspu
5. okrutny cesarz Rzymu
6. samorząd
7. królowa Assyryi
8. owad
9. część świata

Przekątnia daje pseudonim poety polskiego.

Łamigłówka.

a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, c, c, c, c, c, c, e, h, h, h, i, i, i, i i, j, k, k, k, k, l, ł, m, n, n, n, o, o, o, ó, p, p, r, r, r, s, t, t, t, u, w, y, y.

1. skóra, 2. drzewo 3. część ciała 4. ważna nauka w medycynie 5. ksiądz ruski 6 potrawa 7 bezrząd 8. łakomy człowiek 9. część nauk matematycznych.

Początkowe i końcowe litery wyrazów czytane z góry na dół dają przysłowie.

Szarada.

Ta potężna pierwsza trzecia
Jakich cudów dokazuje
I na lądzie i na morzu
Każdy moc jej czuje
Druga trzecia to przybytek
Nie bogini, nie człowieka
Ale zwierząt, których zima
Długa u nas czeka
Malowideł i zwierciadeł
Trzecia czwarta jest ozdobą;
Czwarta trzecia sen — złudzenia
Pewnie nie osobą
Czwarta pierwsza świat odsłania,
Z wszystkiemi własnościami,
Które poznać też dokładnie
Nikomu nie wzbrania.
Trzecie drugie zysk przynosi
Temu kto nie jest leniuszkiem
Woła na cię „spiesz do książki“.
Nie bądź chłopcze spiuszkiem!
Całość w dali ci otwiera
Widok piękny i namiętny;
Malowniczy w każdej porze
Wesoły lub smętny.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść J. Wdowiszewskiego „Cywilizator“**

Ponieważ nikt całkowicie dobrego rozwiązania nie nadesłał, przeto premję „Cywilizator“ przeznacza się jeszcze raz za rozwiązanie zagadek umieszczonych w tymże numerze.

Rozwiązanie kwadratów magicznych.

C	e	z	a	r
e	r	a	t	o
z	a	w	ó	d
a	t	ó	l	i
r	o	d	i	n

E	t	a	p
t	a	m	a
a	m	o	r
p	a	r	a

Rozwiązanie szarady.

Krajobraz.

Rozwiązanie zadania.

Kara — Ostap — Raczka — Emil — Rybak — Niemka - Iliada — Kabira — **Kopernik.**

Częściowe dobre rozwiązanie nadesłali: Pp Stanisław Faliszewski z Zaleszczyk, Kazimiera Oświecimska z Jauner w Wielkiem księstwie Poznańskiem, Olga Elterstein z Górki Aleksander Godel z Przemyśla.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz Zarządzca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak